Alain Finkielkraut: Zapomnienie o czasie teraźniejszym

To nie rozmiar czy obszar decyduje o wyjątkowości małych narodów, lecz ich los

To nie rozmiar czy obszar decyduje o wyjątkowości małych narodów, lecz ich los

Dzięki uprzejmości wydawnictwa Sic! Prezentujemy fragment książki Alaina Finkielkrauta Niewdzięczność w przekładzie Sławomira Królaka. A już jutro Teologia Polityczna spotyka się z filozofem w Warszawie.

Antoine Robitaille: ***Upadek muru berlińskiego przedstawiany był niejednokrotnie jako pierwszy krok na drodze ku całkowitemu zniesieniu granic. W konsekwencji jednak liczba państw należących do Organizacji Narodów Zjednoczonych uległa bardzo znaczącemu zwiększeniu. Jeden z wielkich francuskich intelektualistów wypowiedział następujące zdanie : „Oznajmiono nam nadejście globalizacji, czego jednak jesteśmy obecnie świadkami? Bałkanizacji." Czy zaskoczyło to Pana, podobnie jak wielu innych?***

Alain Finkielkraut: Wbrew wszelkim przewidywaniom, wiele państw uległo podziałom *po* zjednoczeniu Niemiec. Koniec komunizmu postawił na porządku dziennym problem nie wspólnotowości, lecz separacji. Pojawiły się dawniej istniejące granice, odeszłe już w niepamięć zmarszczki na powrót poorały oblicze europejskiego człowieczeństwa. Tego typu erupcje nie zasmuciły mnie jednak same w sobie i zachowywałem dużą rezerwę wobec ogłaszanej wszem i wobec nadciągającej bałkanizacji oraz wobec nawoływań o konieczności poddania Starego Kontynentu jakimś zabiegom oczyszczającym czy odmładzającej kąpieli. Stało się tak za sprawą dużo wcześniejszej lektury tekstu Milana Kundery *Zachód porwany, czyli Tragedia Europy Środkowej1*. „Cóż mamy, czego nie otrzymaliśmy?*" pytał za Pismem Świętym św. Augustyn. Tym, co otrzymałem wówczas od Kundery był inny słownik polityczny i odmienna wizja rzeczywistości. Rzecz jasna używałem już wcześniej terminu „tragedia" dla opisania losu demokracji ludowych. W roku 1983, gdy tekst ten został opublikowany, czar rewolucji październikowej już prysł. Komunistyczna iluzja, która została w sposób poważny nadwątlona już za sprawą rozgromienia węgierskiej rewolty w roku 1956 i praskiej wiosny w roku 1968, ostatecznie wyzionęła ducha po ogłoszeniu stanu wojennego w Polsce i po wybuchu wojny w Afganistanie. Czołgi zdławiły sen, powtarzające się akty brutalności uporały się z nawet najbardziej uporczywym zaślepieniem. Związek Radziecki nie mógł już bez wątpienia jawić się jako ojczyzna nadziei: towarzysze drogi, jeden po drugim, odchodzili. Na próżno podnoszono alarm i przywoływano do porządku, daremne były próby wskrzeszenia Frontu Ludowego poprzez ogłoszenie jakiegoś wspólnego programu, wśród inteligencji nie było niemal nikogo, kto przeciwstawiałby zaspokojenie potrzeb życiowych formalnym wolnościom, a zalety bloku komunistycznego spustoszeniom dokonywanym przez kapitalizm i zbrodniom burżuazji. Jak doskonale dostrzegał to Michel Foucault, kampania przeciwko *milczeniu intelektualistów*, rozpętana we Francji przez znajdującą się u władzy lewicę, przebrała w stwierdzenie „Wy milczycie!" nakaz „Milczcie" adresowany do owych bezczelnych intelektualistów, którzy potępiali postawę „oczywiście niczego nie zrobimy" prezentowaną przez Quai d'Orsay* po zdelegalizowaniu przez polskie władze związku zawodowego Solidarność. Krótko mówiąc, długi nawias historyczny otwarty za sprawą zdobycia Pałacu Zimowego ulegał zamknięciu. Rozpoczynała się epoka rehabilitacji praw człowieka, wyborów powszechnych i wolnorynkowej ekonomii.

Owa spektakularna zmiana paradygmatu pozostawiła jednak w stanie nienaruszonym samą mapę geograficzną. Stanowiąc przedmiot troski, już nie podziwu, uniwersalny symbol opresji, gdy przestała już być ucieleśnieniem ideału równości, Europa Wschodnia pozostała niewzruszenie... Europą Wschodnią. Wszystko zostało zakwestionowane, lecz nic nie uległo zmianie. Owa niezmienność *status quo* była tym właśnie, czemu sprzeciwiał się artykuł Kundery, zwracając ofierze imię nadane jej na chrzcie. Praga, Budapeszt, Kraków – pisał, rekonstruując to w ogólnych zarysach – stanowią zarys Europy Środkowej. Jeśli miasta znalazły się pewnego pięknego dnia na Wschodzie, to stało się tak wskutek napaści bądź porwania. Jako czytelnik Castoriadisa, Leforta i Sołżenicyna sądziłem, że znam doskonale patetyczną historię ich opresji. Kundera objawił mi jednak, że nie było to prawdą. Jego opowieść wyrwała mnie z politycznego snu, w którym byłem pogrążony nawet wówczas, gdy denuncjowałem oszustwa i wielką nędzę realnego socjalizmu. Czytając go, zdałem sobie sprawę, że nawet jeśli moje sumienie była czyste, mój język nie był niewinny. Na próżno zdzierałem sobie płuca: oblekając rzeczywistość w język porywaczy, ukrywałem ich zbrodnię a tym samym ręczyłem za nich.

Nie był to jednak koniec niespodzianek, jakie na mnie czekały. Kundera uaktualnił na powrót problem Europy Środkowej jedynie po to, by uchronić jej pojęcie przed *Mitteleuropą*. Owo centrum nie zostało dotknięte przez gigantomachię. Słowo „środek" nie uderzyło mu do głowy. Nie uważał siebie za metafizyczny pępek zamieszkałego świata. Germański patos Środka pomiędzy bolszewickim socjalizmem i zachodnim indywidualizmem był mu całkowicie obcy. Jego powołaniem nie było wyzwolenie ludzkości z obu materializmów, które tocząc między sobą bezlitosną walkę wiodły ją na skraj przepaści. Z jego położenia nie wynikała żadna misja, której celem miałoby być zbawienie, Historia ani Duch świata nie nadały mu jakichś specjalnych przywilejów. Był to po prostu, jeśli można tak to ująć, pewien fragment Zachodu, wydarty jemu samemu: Zachód *porwany*. Dla uległego francuskiego intelektualisty, którym jestem, nie mogło być bardziej prowokatorskiego ani bardziej paradoksalnego stwierdzenia. Ów oryginalny zwrot stanowił zniewagę dla moich najgłębiej ugruntowanych przekonań, gdyż sądziłem wówczas, że Zachód to potęga i władza: zbyt młody w czasie konfliktów zbrojnych w Algierii,

dla polityki światowej narodziłem się wraz z manifestacjami organizowanymi przeciwko wojnie w Wietnamie, to znaczy przeciwko występkom amerykańskiego imperializmu. Uświadomiłem sobie następnie, że Zachód to również prawa człowieka i demokracja. Starałem się od tamtego czasu poradzić sobie jakoś z tym konstytutywnym dualizmem, nigdy jednak nie przyszło mi na myśl, że jakaś część Zachodu sama mogła paść ofiarą imperializmu. W ten oto sposób przedstawiono mi miejsce na ziemi, znajdujące się przecież gdzieś niedaleko, gdzie Zachód nie zajmował pozycji dominującej, lecz sam był podporządkowany. Tam właśnie doszło do katastrofy, której grozy i potworności nie wyczerpywała idea totalitaryzmu.

Totalitaryzm: przez długi okres czasu cieszące się złą sławą, słowo to w roku 1983 opuściło w końcu czyściec, w jakim uwięziła je zimna wojna. Lewicowi intelektualiści przestali postrzegać go jako narzędzie propagandy Sojuszu Atlantyckiego (NATO) i z czasem weszło ono do obiegowego języka polityki. Kundera nigdy go jednak nie stosował. Nie dlatego, że odmawiał mu znaczenia i uznawał za nieprzydatne w tym kontekście, lecz dlatego, że tym, o czym zapomniano w ramach zakrojonego na szeroką skalę przedsięwzięcia leksykalnej rehabilitacji, które niedawno miało miejsce, był importowany charakter systemu komunistycznego w krajach Europy Środkowej. Z tego samego wynikało przepojone melancholią stwierdzenie Wasilija Grossmana pojawiające się pod koniec powieści *Wszystko płynie*2 : trwały charakter rosyjskiego sojusz postępu i zniewolenia, potęgujący się jeszcze za sprawą sowietyzmu. I z tego samego wynikała utrzymująca się opozycyjna postawa wobec wartości zachodnich, co wyrażone zostało w następujących słowach rosyjskiego prawnika Michaiła Katkowa : „[...] wszystko tam oparte jest na kontraktowych stosunkach, tu zaś na wierze. Kontrast ten zdeterminowany był pierwotnie pozycją przyjętą przez kościół na zachodzie i przyjętą przez kościół na wschodzie. Tam istnieje zasadniczo dualistyczna władza, tu zaś jedna jedyna3.” Posłuchajmy teraz Kundery: „[Na] wschodniej granicy Zachodu silniej niż gdzie indziej postrzega się Rosję jako Anty-Zachód: jawi się ona nie jako jedno z wielu mocarstw europejskich, lecz jako szczególna, zupełnie inna cywilizacja.[...] Oto dlaczego Europa, którą nazywam środkową, odczuwa zmianę swego losu po roku 1945 nie tylko jako katastrofę polityczną, lecz jako zakwestionowanie swej cywilizacji. Głęboką racją oporu krajów środkowoeuropejskich jest obrona ich tożsamości, albo inaczej – obrona ich zachodniości4” Ta zachodniość,

jak dodaje Kundera w tym samym artykule, ma pewne swoiste cechy. W jego mniemaniu Europa Środkowa stanowi „leżącą między Niemcami a Rosją strefę małych narodów5”.

„Mały naród”: określenie to nie wygląda zachęcająco, a jednak otworzyło mi oczy na świat.

Na jakiego rodzaju świat? Świat jak ze słów small is beautiful*? Był to przecież slogan zmiany, który pojawił się dwadzieścia lat wcześniej, zanim objawiło się Panu istnienie i wyjątkowość Europy Środkowej!*

To nie ma z tym nic wspólnego. To nie rozmiar czy obszar decyduje o wyjątkowości małych narodów, lecz ich los. Mały oznacza tu kruchy i nietrwały, a nie jak w przypadku słynnego powiedzenia *small is beautiful* bliski i znajomy. Nie odwołując się w tym przypadku ani do ekologii ani komunitarianizmu, Kundera nie przeciwstawia małego wielkiemu ani organicznego mechanicznemu, jak też nie stawia w opozycji emocjonalnego ciepła *Gemeinschaft* wobec obojętnego funkcjonowania racjonalnego i anonimowego *Gesellschaft*. Oto jego definicja: „mały naród to taki, którego istnienie może zostać w każdej chwili zakwestionowane, który może zniknąć i o tym wie.6” Dodaje: „Francuzi, Rosjanie czy Anglicy nie stawiają sobie pytania, czy ich naród przetrwa. Ich hymny mówią o wielkości i wieczności. Natomiast hymn polski zaczyna się słowami *Jeszcze Polska nie zginęła*...7” Małe narody, ujmując to innymi słowami, są bytami pozbawionymi racji bytu. Nie ma dla nich miejsca w pędzącym pociągu historii, a kiedy mimo wszystko pragną do niego wsiąść, ci, którym przysługuje do tego prawo, ci, którzy skasowali bilet, wołają z oburzeniem kontrolera, by nakazał im natychmiast wysiąść.

W niedawno przetłumaczonym na język francuski zbiorze tekstów odkryłem pewien list otwarty, napisany w roku 1930 przez węgierskiego powieściopisarza Dezsö Kosztolanyi'ego do Antoine'a Meilleta, profesora z Collège de France. Ów cieszący się międzynarodowym uznaniem uczony opublikował wówczas wielkie dzieło o opisowym i programowym charakterze, zatytułowane *Les langues dans l'Europe nouvelle* („Języki w nowej Europie"). Nowa i napełniająca entuzjazmem wydawała się zatem Meilletowi Europa podążająca drogą racjonalizacji poprzez myśl naukową w sojuszu z postępem technicznym i spektakularnym rozwojem środków komunikacji. Zaobserwował on jednak, że stary kakofoniczny świat opóźnia moment ustanowienia tego jednolitego i harmonijnego świata. Na drodze pochodu nowoczesnej Europy stała krępująca jej ruchy tradycjonalistyczna Europa wraz z jej szaleńczym chaosem przypominającym wieżę Babel. Ceną za ową nieodzowność uracjonalnienia owego wielkiego zamętu tubylczych narzeczy musiała stać się ofiara złożona z małych języków. „Im głębszą staje się ich świadomość władzy nad językiem – pisał Meillet – tym lepiej obywatele tworzącego się obecnie nowego świata, który wyłania się z krwi i ruin, będą potrafili, nie gnębiąc żadnego z narodów i za sprawą wolnego lecz zgodnego wyboru jednostek, grup społecznych i narodów, opanować dzisiejszą pół-anarchię językową i wdrożyć ją do dyscypliny, którą narzuci powszechna cywilizacja jutra.8"

Kosztolanyi'ego, Madziara, urodzonego i mówiącego jednym z najbardziej hermetycznych idiomów skomplikowanej Europy, będącym „ową cudowną sierotą rodziny ugrofińskiej, której rodzice zmarli zbyt wcześnie, a rodzeństwo rozproszyło się w zawierusze Historii, która jednak pomimo braku pozbawiona rodziców, braci i sióstr przeżyła, stawiając czoła niepogodzie9" – dotknęła do żywego arogancka logika wywodu wielkiego profesora. Z programu Meilleta wynika w gruncie rzeczy nic innego, jak to, że „wielkie ryby pożrą w końcu mniejsze, nie przez swą niegodziwość, lecz łagodnie i pokojowo, w imię człowieczej kultury, na coraz większą chwałę postępu10". Kosztolanyi stawia jednak pytanie: zakładając, że ten nowy świat pewnego dnia się urzeczywistni, czy „małe narody są gotowe kroczyć ramię w ramię, niesione wspólnym entuzjazmem, ku odkupicielskiemu samobójstwu? Wcale nie jestem tego pewien. Nic z tym nie zrobimy, ani stopniowo, ani świadomie, ani nieświadomie11"

Jak Pan widzi to nie irracjonalizm kieruje Kosztolanyi'm, gdy odrzuca on dyktat rozumu i nie obskurantyzm decyduje o tym, że przedkłada on europejską rupieciarnię nad obiecywaną piękną prostotę nowej Europy. Każdy człowiek wraz ze swym życiem otrzymał język, którym mówi, lecz ten, czyj ojczysty język sam został sierotą, może spłacić swój dług jedynie stając w jego obronie, strzegąc go przed nieprzejednaną wrogością świata lub jego pogardliwą obojętnością.

Czy wraz z pojawieniem się tego rodzaju debaty nie jesteśmy świadkami kiełkującego konfliktu lojalności, gdy zmuszeni jesteśmy wybierać między systemem europejskim a narodową przynależnością?

Meillet i Kosztolanyi, zarówno jeden jak i drugi, są głęboko europejscy. Nadają jednak tej samej przynależności dwa dokładnie przeciwstawne znaczenia. Meillet, piewca jednorodności, prekursor Eurolandu i wyznawca nowoczesności, pragnie uczynić Europę jasną i wyraźną, narzucić jej ściśle określone reguły, sprawić, by stała się racjonalna. Dla Kosztolanyi'ego przeciwnie, Europa stanowi ową uporczywą rzeczywistość, która nie pozwoli sobie na to, by rozpłynąć się w czystej funkcjonalności. Europejczycy, którzy „ubierają się niemal wsyzscy w ten sam sposób, używają tych samych szczoteczek do zębów, odżywiają się tymi samymi produktami spożywczymi12", powinni zdaniem Meilleta w sposób konieczny i nieodwołany mówić tym samym językiem, podczas gdy Kosztolanyi obstaje przy miłości dla Starego Kontynentu ze względu na jego urozmaiconą językową kartę dań, która „z jej czerwonymi, zielonymi, żółtymi i niebieskimi cętkami" przypomina „dziwaczny strój klauna13". Powiedz mi co nosisz, mundur czy strój błazna, a powiem ci do jakiej Europy przynależysz…

Nieprzyleganie do siebie tego, co rzeczywiste i tego, co racjonalne, w czym Meillet dopatruje się *skandalu*, jawi się Kosztolanyi'emy jako *bogactwo* i jako *dar*. Europa według Meilleta to system, który triumfalnie zagarnia i przywłaszcza sobie świata życia, Europa dla Kosztolanyi'ego to metoda, która doznaje ciągłej porażki. Europa Meilleta przypomina odkrytą przez Guliwera wyspę Laputę, której mieszkańcy żywią się „jagnięcymi łopatkami wyciętymi w trójkąt równoboczny, kawałami wołowiny pokrojonymi w romby i nadziewanymi żołądkami w kształcie cykloidy"14, gdyż ich kartezjańskie myślenie kształtuje porządek rzeczy, zamiast podążać za nim w ślad. Kosztolanyi jest natomiast spadkobiercą Swifta i jego sporu z nowoczesnymi. Pora na satyrę jednak już minęła. Osiem lat po proroczej, gwałtownie oskarżycielskiej przemowie węgierskiego powieściopisarza, która skierowana była przeciwko „nadużyciom, do których może prowadzić bezkompromisowy racjonalizm15", układ monachijski przypieczętowuje los Czechosłowacji. Z tego wydarzenia w naszej pamięci pozostało wspomnienie o demokracjach ustępujących przed Hitlerem, by ostudzić jego bojowy zapał oraz by nie powtórzył się w roku 1938 scenariusz z roku 1914, to znaczy by nie dopuścić do przekształcenia się konfliktu lokalnego w ogarniającą cały świat pożogę wojenną, do czego mogłoby dojść choćby za sprawą mechanizmu sojuszniczych zobowiązań. Przypominamy sobie również przy każdej nadarzającej się sposobności, i słusznie, że hańba i wojna stanowiły wówczas cenę kalkulacji, gdyż poczynione przez Europę ustępstwa, nie mogąc w żaden sposób nasycić dzikiej bestii, jedynie jeszcze bardziej zaostrzyły jego niezaspokojony apetyt: niecałe sześć miesięcy po podpisaniu porozumień, które miały zapewnić pokój całemu pokoleniu, Hitler wyparł się swych słów, a Wehrmacht wkroczył niemal bez walki i bez najmniejszych trudności do Czech. W przeddzień ataku na Norwegię w kwietniu 1940 roku Joseph Goebbels mógł zatem z pełnym spokojem wygłosić podczas tajnego zebrania następującą przemowę: „[...] W 1933 roku francuski premier powinien był powiedzieć (i ja, gdybym był francuskim premierem, to bym właśnie powiedział): „Nowym kanclerzem Rzeszy jest człowiek, który napisał *Mein Kampf*, gdzie można przeczytać to i to. Człowiek ten w naszym sąsiedztwie nie może być tolerowany. Albo on zniknie, albo my ruszamy!" Tego jednak nie powiedzieli. Dali nam spokój, dali nam przejść przez strefę ryzyka i pozwolili nam na to, że opłynęliśmy wszystkie niebezpieczne rafy. *A kiedyśmy dobrnęli do brzegu, kiedy jesteśmy uzbrojeni lepiej od nich, oni wszczynają wojnę!*16". Katastrofa monachijska przywoływana jest

zatem, co stało się już rytuałem, za każdym razem, gdy pragniemy przestrzec państwa demokratyczne przed utratą odwagi, chimerami realizmu i fałszywie uzasadnionymi racjami przemawiającymi za tym, by ugiąć się przed brutalną siłą. Aby nazwać kogoś tchórzem używamy wszak dziś, niezależnie od sytuacji, określenia „monachijczyk".

Zasłużenie, czyż nie?

Zasłużenie, lecz to nie wystarcza. Monachium weszło do potocznego języka jedynie za cenę prawdziwej amputacji. Wymiar tchórzostwa przesłonił wszystko to, co w owym wydarzeniu nosiło znamiona niekompetencji i arogancji. Zapomniano o pogardzie żywionej przez wszystkich głównych bohaterów tej historii, zarówno przez samą dziką bestię jak i przedstawicieli cywilizowanej ludzkości, wobec narodów pozbawionych znaczenia. Nazwa Monachium nie pobrzmiewa już oburzeniem Léona Daudeta na myśl o domaganiu się od francuskiego żołnierza, by „szedł zdychać w jakiejś ponurej i dalekiej zapadłej dziurze, o której nie ma najmniejszego pojęcia" ani potwornego dialogu głuchych, jaki miał miejsce pomiędzy Benešem – „ W tej sprawie walczymy o Europę, nawet jeśli to ona nas opuściła" – i Chamberlainem – „Jakże przerażające, jakże nieprawdopodobne, jakże niewiarygodne jest to, że bierzemy udział w sypaniu okopów i zakładaniu masek gazowych wskutek zatargu, który pojawił się w jakimś dalekim kraju, toczącego się pomiędzy ludźmi, o których wszak nic nie wiemy.17". Krótko rzecz ujmując, uparcie lekceważy się to, co w owym akcie europejskiej kapitulacji jest wynikiem pobłażliwości i poczucia wyższości, jakie przejawiał Antoine Meillet.

***Lekceważenie tego zjawiska przyczynia się według Pana do przedłużenia jego trwania*?**

Tak, a owo podtrzymywanie odbywa się w błogim spokoju ducha, z całkowicie czystym sumieniem. Dzieje się tak dlatego, gdyż zgodnie z dialektyką wydobytą na światło dzienne przez Waltera Benjamina, to, co oznacza dla małych narodów *katastrofę*, dla reszty ludzkości oznacza *postęp*. Czemu służą owe dalekie wspólnoty etniczne i ich niezrozumiały bełkot, jeśli nie temu, by poprzez swe zmyślone historyjki opóźnić bieg Historii pisanej wielką literą? Anioł rozumu domaga się ich zniknięcia. Jedynie usuwając się dobrowolnie na drugi plan i odchodząc w niepamięć, mogą one wnieść jakiś pozytywny wkład w dzieło o uniwersalnym charakterze.

Istnieje jednak niezwykle stare plemię, bardzo dawno skazane już na nieistnienie, które się jednak nie poddaje. Nowe Przymierze na próżno starało się unieważnić Stare, Żydzi nie chcieli nic o tym słyszeć. Powiedzieli „nie" wyrokowi postępu, ośmielili się trwać nawet wówczas, gdy wydali ze swego łona Chrystusa i chrześcijaństwo. Odprawieni przez ducha świata, wpili się w istnienie. „To właśnie – przypomina Bernard Lazare – było w największym stopniu przyczyną nienawiści wobec nich (*obstinatio perfidia judeorum*). Owo uporczywe trwanie budziło lęk, szczególnie wtenczas, gdy powierzona im misja została już wypełniona.18" Stąd – jak sądzi Kundera, w przeciwieństwie do Lazare'a – wynikało poczucie spontanicznej identyfikacji: kim są w istocie Żydzi, jeśli nie małym narodem, małym narodem *par excellence*? „[J]edynym spośród wszystkich małych narodów, który przetrwał cesarstwa i niszczycielski marsz Historii19."

Małym narodem* par excellence*, jak Pan uważa, lecz również, począwszy od końca XIX wieku, obiektem nienawiści nacjonalistów wszystkich krajów, tych małych i tych wielkich.

Doprowadziło to Szymona Dubnowa, jednego z największych historyków judaizmu, do przekonania, że wszelki paroksyzm gwałtownych uczuć nacjonalistycznych, którego doświadcza jakikolwiek z narodów, powoduje w pierwszym rzędzie i przede wszystkim przyjęcie przez ów naród przepełnionej pogardą postawy wobec Żydów, żyjących w jego łonie20”. Ten sam Dubnow sam jednak krytykował tych Żydów, którzy upatrywali w tym stanie rzeczy powodów, pozwalających uprzedzić się do wszelkich postaci uczuć narodowych i - uznawszy się za kosmopolitów - podpisać się pod wyrokiem wydanym przez Rozum historyczny przeciwko ich narodowi.

Inna, choć nie mniej groźna, pułapka czyha obecnie na Żydów. Pod wpływem wstrząsu, jaki stanowiła dla nas Zagłada, Historia zaczyna obecnie robić słodkie oczy do swych dawnych pariasów. Wynosi ich do pozycji wzorca moralnego i czyni ich paradygmatycznym przypadkiem wszelkiego nieszczęścia. Wszystkie podejmowane przez nią kroki wymagają zatem ich pieczęci. Jeśli rozpętuje burze i razi gromem to – jeśli wierzyć jej słowom – po to, by pomścić ich cierpienia, jeśli brudzi sobie ręce, to po to, by zmusić sprawców pogromów i katów do zapłaty za swe czyny, jeśli zostaje zniszczony Vukovar, to po to, by ukarać ustaszów, jeśli Quebek ma pozostać pod kuratelą, to za sprawą antysemityzmu. Krótko mówiąc, naród żydowski nie jest już narodem ocalałym. Został poddany powtórnej obróbce i obarczony misją wzniosłego posłannictwa, którego celem jest przekształcenie katastrof narodów oddalonych od centrum w postęp, a ich pragnienia wolności w zacofanie. Gorzka pigułka nie do przełknięcia stała się nieodzowną poręką wszelkich pożeraczy. Angażując się bez reszty w walkę na rzecz niepodległości Słowenii i Chorwacji, pragnąłem przede wszystkim ujawnić ów poniżający charakter owej spektakularnej kampanii. Nie uważałem za chwalebne, lecz za odrażające to, że można przyznać bądź odmówić w imię swoich prywatnych interesów prawa wstąpienia do wielkiego świata. Wydawało mi się zatem, że powinienem przeciwstawiać się instrumentalizacji naszego losu przez Historię z takim samym uporem, jaki wkładali moi przodkowie w swe przetrwanie, gdy minęła ich kolej.

Jednak w czerwcu 1991 roku, w chwili ataku na Słowenię, należał Pan do niewielkiej grupy osób, które gotowe były w sposób wyraźny stanąć po stronie owych małych narodów Europy środkowej. W przeważającej większości intelektualiści i dziennikarze zaniepokojeni byli rozpadem Jugosławii. Artykuł Milana Kundery, do którego Pan się odwołuje, nie pojawił się wszakże w jakimś podziemnym wydawnictwie czy drugim obiegu. Przeciwnie, zyskał znaczący rozgłos. Był czytany przez wszystkich i, jak się wydaje, wszyscy docenili jego znaczenie. Skąd zatem owa rozbieżność perspektyw?

Na skutek podejrzeń, a nawet tabu, którym od czasów drugiej wojny światowej obłożone są wszelkie próby rozpatrywania konfliktów między ludźmi w świetle ich kulturowych różnic. W roku 1844 wielki czeski pisarz Karel Havlicek „ostrzegał swoich rodaków przed ich głupim i nierealistycznym rusofilstwem. Nierealistycznym, gdyż w ciągu swej tysiącletniej historii Czesi nigdy nie mieli bezpośredniej styczności z Rosją. Mimo językowego pokrewieństwa nie mieli z Rosjanami żadnego wspólnego świata, żadnej wspólnej historii, żadnej wspólnej kultury, zaś stosunki Polaków z Rosjanami zawsze były walką na śmierć i życie21”. Czy można nadal, po czasie apokalipsy, przystawać na przeciwstawność, a tym bardziej niemożność pogodzenia różnych światów? Czy przemieszczając granicę pomiędzy dwiema Europami po to, by w większym stopniu uszanować jej rzeczywisty przebieg i topografię, nie bierzemy na siebie ryzyka, że zniknie nam z oczu sama idea ludzkiej wspólnoty, i czy tym samym nie torujemy drogi powrotowi barbarzyństwa? Demokratyczny Zachód, prześladowany ową wizją zagrożenia nie dostrzegał owego jedynego kraju Starego Kontynentu, który leży na przecięciu Wschodu i Zachodu. W istnieniu Jugosławii, w której uczuciowe przywiązanie Serbów do Rosji szło ręka w rękę z przywiązaniem uczuciowym Słoweńców i Chorwatów do Europy środkowej, nie chciano widzieć dowodu na potwierdzenie tezy o odrębnym charakterze dwóch Europ. Nie zadawano sobie zatem pytania o „możliwość bądź niemożliwość ich współistnienia, a tym bardziej ich jedności22.”

Czesław Miłosz napotkał ten problem już w latach pięćdziesiątych. Zastanawiając się nad tym, co jego rodak Joseph Conrad zwał *incompatibility of temper*, niezgodnością charakterów pomiędzy Polakami i Rosjanami, doszedł do przekonania, że nie dysponuje językiem, który umożliwiłby mu dokonanie koniecznych rozróżnień oraz że ów brak nie dotyczył wyłącznie jego. „Wiek XX – pisał – w panicznym strachu przed bredniami nacjonalistów i rasistów, usiłuje zasypać przepaść czasu cyframi produkcji czy nazwami kilku polityczno-gospodarczych systemów, wyrzekając się badań nad misterną tkaniną stawania się, gdzie żadna nitka nie powinna być pominięta – nawet poglądy zapomnianych rosyjskich sekt. Co było, znika na zawsze tylko pozornie, w istocie transformuje się niepostrzeżenie [...]23".

Mówiąc inaczej, posthitlerowska inteligencja nie ośmiela się zapuszczać w niebezpieczne rejony tego, co nie da się zmierzyć wspólną miarą. Cyfry zapewniają jej spokój i bezpieczeństwo, gdyż ujawniają one, poza przeciwieństwem pomiędzy drogą rosyjską a odpowiedzią daną przez Europę zachodnią na postawiony problem teologiczno-polityczny – obecność pod każdą szerokością geograficzną pragnienia polepszenia swego położenia. Przewaga moralna ekonomii nad innymi naukami społecznymi polega na tym, że zrównuje ona ze sobą wszelkie, choćby najbardziej różniące się od siebie, formy życia. Uznawany przez romantyków za dehumanizujący proceder sprowadzenia wszelkiej jakości do ilości, jawi się w naszym wieku żelaza jako gwarancja bezpieczeństwa, mająca uchronić nas przed wszelkimi próbami uwiedzenia przez to, co nieludzkie.

Kiedy Czesław Miłosz pisał *Rodzinną Europę* ów humanistyczny materializm największy pożytek przynosił Marksowi. Autor *Kapitału* świecił wówczas już pełnym blaskiem jako anty-Spengler. Zasługą Marksa było przeciwstawienie ciału historii i zaskakującemu bogactwu rzeczywistych form przywoływanych w *Zmierzchu Zachodu* przeciwko pojęciu ludzkości nie jakiejś przysięgi czy idei regulatywnej, lecz faktu kryjącego się najgłębiej, w najwyższym stopniu realnej rzeczywistości rozwoju sił produkcyjnych. Do owego rozpoznania dołączył on ponadto immanentną obietnicę zniesienia granic, powszechnej współzależności między narodami, całkowitego i ostatecznego pojednania człowieczeństwa z jego istotą na ziemi całkowicie już sobie poddanej.

Prawdą jest wszakże, że antykolonializm na powrót wprowadził nieco geografii do tego pozbawionego zarazem poezji i materii dyskursu. Ponownie pojawiły się wówczas europejskie i zachodnie nazwy własne. Była to jednak Europa na wskroś wyzyskująca i poddana prawom ekonomii, był to Zachód nie do obronienia i *nie do porwania*, gdyż z samej definicji to on był drapieżcą.

* „Cóż masz, czego byś nie otrzymał”, 1 Kor 4;7, cytat za Biblią Tysiąclecia. (przyp. tłum.)

* francuskie ministerstwo spraw zagranicznych, mieszczące się przy ulicy do Quai d’Orsay w Paryżu (przyp. tłum.)